

MARIA SZAMOT  
GENEZIS.  
CZY KTOŚ W TO  
JESZCZE WIERZY?





Maria Szamot

Genesis. Czy ktoś w to  
jeszcze wierzy?

WYDAWNICTWO W DRODZE, POZNAŃ 2020

© Copyright for the text by Maria Szamot, 2003

© Copyright for this edition by Wydawnictwo W drodze, 2020

Redaktorki prowadzące – EWA KUBIAK, JUSTYNA OLSZEWSKA

Redakcja – A. KOMURKA

Korekta – LIDIA KOZŁOWSKA, MONIKA SIMIŃSKA

Skład i łamanie – PILCROW STUDIO

Redakcja techniczna – KRZYSZTOF LORCZYK OP

Projekt okładki i layoutu – KRZYSZTOF LORCZYK OP

ISBN 978-83-7906-370-3 wersja drukowana

ISBN 978-83-7906-371-0 wersja elektroniczna

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów W drodze sp. z o.o.

Wydanie I

ul. Kościuszki 99

61-716 Poznań

tel. 61 852 39 62

[sprzedaz@wdrodze.pl](mailto:sprzedaz@wdrodze.pl)

[www.wdrodze.pl](http://www.wdrodze.pl)

# Wstęp

Przedmiotem tej książki jest jedenaście początkowych, nieodwracalnie strywializowanych przez kulturę masową i wyeksploatowanych rozdziałów Księgi Rodzaju: w sumie garść opowiadań, z którymi zetknął się absolutnie każdy konsument kultury białego człowieka. Garść dydaktycznych opowiadań z morałem prościutkim, że aż boli, ukazujących obraz świata i człowieka, którego na poważnie zaakceptować niepodobna. Opowiadamy je więc dzieciom przygotowującym się do pierwszej komunii – ich naturalny bezkrytycyzm znakomicie koincyduje z komplikacją i klimatem tych historyjek – a potem staramy się już do nich nie wracać, bo i po co?

Zapewne dla badacza starożytności, filologa czy etnologa zainteresowanego archaicznymi źródłami, ten zabytkowy tekst może być nadal przyczyną zawodowej uciechy – oni potrafią z niego jeszcze niejedno wydłubać. Ale my – beziemienny tłum wyznawców bez egzegetycznego przygotowania

i hermeneutycznego zacięcia? Dla nas ta wiązka pradawnych opowieści stanowi już tylko element obowiązkowego wyposażenia kulturowego – jak kołysanka zapamiętana z dzieciństwa, jak wierszyk o wróbelku, którego pani nauczyła w pierwszej klasie, jak kilka taktów piosenki, które potrafimy wystukać na klawiszach... Źródłem wiedzy ani inspiracji te opowieści już dla nas nie są. Tyle jeszcze pamiętamy z lat szkolnych, że żadna z nich nie ostoi się wobec krytycznego aparatu nauki. *Summa summarum* stanowią one część naszego dziecięcego wyposażenia – ani to wiedza, ani umiejętność, ani się na to powołać, ani się tym pochwalić... Na tym urosliśmy i z tego już wyrosliśmy. Jak z kołysanki, jak z wierszyka o wróbelku...

Właśnie dlatego Genezis, obok Apokalipsy, była tą Księgą Pisma Świętego, z powodu której długie lata bałam się po nie sięgnąć. Kilkakrotnie stawiałam przed półką – na której leżał egzemplarz „Tysiąclatki” – z niejasnym uczuciem, że należałoby w końcu choć raz przeczytać tę książkę i każdorazowo cofałam rękę. „Nie, lepiej nie”. Bałam się, że naiwność tych archaicznych, nieznośnie prościutkich obrazów ostatecznie odbierze mi moją już słabą wiarę. Bałam się, że rozum się zbuntuje. Bo o ile bez buntu można czytać baśń albo powieść SF, gdyż z góry przyjmujemy, że obowiązująca w nich konwencja nie musi zgadzać się z naszym doświadczeniem i systemem pojęć, o tyle nie możemy z takim samym przymrużeniem oka podchodzić do treści kanonicznej Księgi, na fundamencie której mamy oprzeć gmach naszej osobistej wiary. W końcu chodzi tu o sprawę pierwszorzędnej dla nas wagi, a więc – żadnej nonszalancji!

Tak się jednak stało, że obyło się bez owego przymrużenia oka. Pewnego dnia otworzyła się przede mną furтка do tej Księgi, a była to dla mnie chwila olśniewająca. Tego olśnienia nie potrafię przekazać. Mogę jedynie zrelacjonować

to, co rozumiałam, a już to samo wydaje mi się wspaniałym i wartym podania dalej. Tę książkę napisałam dla tych, którzy szaloną miłością kochają Pismo św. Kochają je za to, że w tym naszym świecie rozmytych, wieloznacznych i niepewnych treści, w „czasach wielkiej imitacji”<sup>1</sup> ono jedno w sposób pewny wskazuje na Boga. I prowadzi, darząc szczególną wolnością – bo jest żywe.

Fachowcy wiedzą swoje: że ofiara Abła jest echem tego etapu historii, gdy gospodarka oparta na hodowli zaczęła wypierać prymitywną kulturę rolniczą, a opowiadanie o niedokończonyj wieży Babel jest ludowym podaniem tłumaczącym wielość języków. Ja też wiem swoje: że kluczem do Księgi Rodzaju jest słowo „wzorczość” i że ta Księga, posługując się metaforą ludowej powiastki, obwieszcza do dziś absolutnie aktualny i niezmienny wzorzec obecności człowieka w przestrzeni *sacrum*. Wzorzec, który sam Bóg wszczepił w świat i w oparciu o który wciąż się z nami porozumiewa. Uchwycić go, przeniknąć – to znaczy zrozumieć, jak „kręci” się ten świat. To także zobaczyć go z perspektywy nadrzędnej. Z perspektywy ducha. Nieznany z imienia geniusz religijny opisał ten wzorzec, a opisał go tak, że mimo dzielących nas od niego paru tysięcy lat, potrafimy jego myśl odczytać. I wtedy ze zdumieniem przekonujemy się, że duch ludzki jest uniwersalny, niezależny od miejsca i kultury. Taki sam przez tysiąclecia. Jest niezmiennikiem<sup>2</sup> naszej ludzkiej natury i tym, co czyni nas podobnymi sobie nawzajem i podobnymi Stwórcy.

W tym komentarzu starałam się uwzględnić w miarę możliwości każdy werset biblijnego tekstu, opuszczając – wyłącznie

---

<sup>1</sup> *Czasy wielkiej imitacji* to tytuł książki prof. Ryszarda Legutki.

<sup>2</sup> Niezmiennik (inwariant) to termin matematyczny. Oznacza wielkość nieczułą na wszelkie operacje transformacji.

ze względu na oszczędność miejsca – tylko te wersety, które raz jeszcze przytaczają treść podaną wcześniej. Natomiast każdy werset samoistny w swym charakterze został tu omówiony. Nie dało się utrzymać tej zasady przy omawianiu genealogii, nie było też sensu upierać się przy niej, gdyż w tych partiach tekstu dopiero spojrzenie z góry na całą sekwencję analogicznych fraz pozwala odczytać ich przekaz. Podobnie ustąpić musiałam wobec opowieści o potopie. Historia ta obfituje w powtórzenia i nawroty, co zapewne jest efektem jej kilkakrotnej redakcji. Dla uniknięcia dłużyzn w komentarzu musiałam tego rodzaju wersety opuścić. Starłam się jednak wyodrębnić rdzeń opowieści ze wszystkimi jej szczegółami, po to, aby ujrawszy ją w całości, móc postawić pytanie o jej właściwe przesłanie. Założeniem bowiem, które towarzyszyło mi przez cały czas, jest przekonanie, że Biblia opowiada przede wszystkim o świecie ducha. Regułą tego świata poszukiwałam zainspirowana słowami proroka Izajasza:

*Jakie były przeszłe rzeczy? Objawcie, abyśmy to  
wzięli do serca.*

*Albo oznajmijcie nam przyszłe rzeczy, abyśmy mogli poznać  
ich spełnienie (Iz 41,22)<sup>3</sup>.*

Książka ta jest więc w swym zasadniczym zamyśle komentarzem do pierwszej części Genesis, ale nie tylko. Zdecydowałam się włączyć do niej pewien dodatkowy, a dla mnie osobiście bardzo ważny wątek, który wprawdzie przekracza ramy komentowanego tekstu i ramy samego komentarza, ale w istotny sposób na nim bazuje. Nigdzie bowiem, w żadnej innej księdze Pisma św. nie mówi się tak

---

<sup>3</sup> Cytaty biblijne podano za: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych, wyd. III poprawione, Wydawnictwo Pallottinum Poznań–Warszawa 1990.



wiele o tym, jaki jest Bóg Ojciec. Nigdzie nie dowiadujemy się o Nim tyle naraz i w równie bezpośredni sposób, a jednocześnie w modlitwie arcykapłańskiej Pana Jezusa słyszymy słowa: *Objawiłem im Twoje imię i nadal będę objawiał* (J 17,26). *Objawiłem im Twoje imię*, to tyle, co „pokazałem im, jaki jesteś, Ojcze”. Bo imię jest równoznaczne z naturą. „Opowiedziałem im wszystko o Tobie”, ale jak i kiedy, skoro tak niewiele z nauk czy przypowieści zanotowanych w ewangeliach można bezpośrednio odnieść do Boga Ojca? Otóż całkiem po prostu: stając na widoku publicznym, dokonując wszystkiego w pełnym świetle, na forum, wobec wszystkich, którzy widzieć i słyszeć chcieli. Bo Syn jest współistotny Ojcu. Jest tej samej natury. Dlatego: *Kto Mnie zobaczył, zobaczył także i Ojca* (J 14,9).

Znamy te słowa, ale jakoś nam umykają. Bo tak naprawdę, w głębi ducha, pozawerbalnie i instynktownie, wolimy się za bardzo do Ojca nie zbliżać, gdyż On potrafi być groźny, wszechwładny i karzący – zastrzeżenie, ale jakże dotkliwie. On potrafi, gdy człowiek Go zlekceważy, zawrzesć gniewem, obarczyć cierpieniem, zesłać druzgocący kataklizm... Syn jest stokroć łagodniejszy. Miłosierny, wybaczący, współczujący. Przy Nim czujemy się bezpieczniej i za Nim próbujemy się chować przed przenikliwym spojrzeniem Ojca, tym samym jakby przeciwstawiając Syna Ojcu. A przecież Oni są jednacy. *Ja i Ojciec jedno jesteśmy* (J 10,30). Tacy sami, choć w dwóch Osobach. Tak naprawdę dopiero patrząc na Jezusa w ewangeliach, rozumiemy (czyny) Ojca z początków Genezis.

Nie spodziewam się, bym kiedykolwiek jeszcze miała możliwość pisania na ten temat, dlatego zdecydowałam się, nawet za cenę uczynienia konstrukcji książki mniej przejrzystą, choćby tylko zaznaczyć, zasygnalizować ów wątek jedności Ojca i Syna właśnie w kontekście komentarza do

Księgi Rodzaju. Jedność Ojca i Syna stanowi istotę nauczania Pana Jezusa – nieprzypadkowo ostatniego wieczora, podsumowując swe dzieło, „rozlicza się” z niej przed Ojcem – i jeśli pozwolimy sobie na pomijanie tego tematu, choćby tylko w sposób pozaświadomy i instynktowny, to z naszą wiernością wobec Niego jest coś nie tak.

Temat współistotności Ojca i Syna w oczywisty sposób mnie przerasta. Leży mi on na sercu, ale intelektualnie jestem wobec niego bezradna. Niemniej serdecznie pragnę, byśmy zdobyli się na odkłamanie wizerunku Ojca. Byśmy się Nim zachwycili tak, jak zachwyciliśmy się, zaufaliśmy i pokochaliśmy Syna. To, co potrafię w tej sprawie zrobić, to próbować zestawiać czyny Boga z Genesis i sytuacje z publicznego życia Pana Jezusa, gdzie postępuje On dokładnie na wzór Ojca. Reszta jest już kwestią osobistych przemyśleń Czytelnika.

# Świat stworzony przez Boga

## <sup>1</sup>NA POCZĄTKU BÓG STWORZYŁ NIEBO I ZIEMIĘ.

[1,1]

Kapitalne, nieprawdaż? Pierwsze zdanie wielkiej księgi, najgrubszej chyba, jaką w życiu przeczytałam, a na pewno najbardziej zastanawiającej, i ani słowa wstępu, wprowadzenia. Ani śladu pytań, które dziś tak nas trapią: kim On jest? Czy w ogóle jest? I jaki jest? Bo też nie otwiera ono podręcznika czy encyklopedii, lecz księgę wiary, po którą sięga się nie dlatego, by się o Bogu czegokolwiek dowiedzieć, ale by się do Niego zbliżyć. Nie jest to więc lektura dla każdego. Prócz pragnienia wynikłego właśnie z wiary, domaga się ogromnej czujności i zaufania. Wtedy – bywa – że się otwiera...

Jak ja zabrałabym się do opisu stworzenia świata? Oczywiście w myśl reguły „od ogółu do szczegółu”. Najpierw kategorie i struktury nadrzędne, złożone (przestrzeń, kosmos), potem te nieco niższego rzędu (ziemia, morze), na końcu detale (rośliny, zwierzęta). Taki porządek opisu po prostu się narzuca. A co znajduję tutaj? Owszem, także pewną próbę systematyzacji opisu (gdymowa o ziemi, otrzymuję opis

życia na niej, gdy o niebie – opis ciał kosmicznych), ale jakież to takie wyrywkowe. W gruncie rzeczy panuje tu bałagan. Powtórzenia i nawroty (dwa razy o świetle, trzy razy o ziemi, trzy razy o niebie...) rozpraszają myśli, a brak hierarchii w opisie (najpierw stworzenie roślin, potem dopiero gwiazd) torpeduje wysiłki zmierzające do wytworzenia sobie jakiegoś poważnego, racjonalnego obrazu całości. Dodatkowe zamieszanie wprowadza podział całego procesu stwórczego na siedem odcinków, zupełnie nierównoważnych pod względem ilości „pracy”, jaką w każdym wykonał Bóg Stwórca.

Jednakże cały ten chaos jest czysto pozorny. Rzut oka z góry na tekst ujawnia obecność specyficznego szyfru, który pojawia się w biblijnych opisach świata, począwszy od Księgi Rodzaju aż po Apokalipsę. Ten prosty szyfr pozwala, wobec braku odpowiednio precyzyjnego słownictwa, bezbłędnie zorientować się co do natury opisywanych obiektów. I tak, jeśli w tekście znajduje się zbitka *ziemia i niebo*, oznacza to, że mowa jest o całości rzeczywistości stworzonej: o świecie materialnym (*ziemia*) i o świecie istot duchowych (*niebo*). Jeśli natomiast natrafimy na triadę *ziemia, niebo i morze* (w dowolnej kolejności), to jest to sygnał, że rzecz dotyczy tylko świata przyrody, z kosmosem włącznie. Czasem też napotykaśmy sformułowanie *ziemia i morze*. To wyrażenie oznacza całą naszą planetę albo precyzyjniej: szeroko pojęte środowisko, w którym żyją ludzie, bo że jest to planeta, nikt wtedy nie wiedział.

Uwzględniając powyższe uwagi, spójrzmy teraz już z większym szacunkiem na przekaz pierwszego rozdziału.

A więc *na początku Bóg stworzył niebo i ziemię*. Teraz już wiemy, że chodzi tu o to, iż Bóg jest Stwórcą całej rzeczywistości: tej przyrodniczej, materialnej i tej niewidzialnej, duchowej. Innymi słowy: na początku Bóg wszystko stworzył. *Na początku* to nie znaczy w pierwszym etapie dzieła

stworzenia, ale *najpierw*, na początku niezwyklej historii Jego kontaktów ze światem – tej historii, która jest osią całej Biblii. Przyjmując inny sposób odczytania tych słów, złamalibyśmy porządek i harmonię dalszej narracji.

<sup>2</sup> ZIEMIA ZAŚ BYŁA BEZŁADEM I PUSTKOWIEM: CIEMNOŚĆ BYŁA NAD  
[1,2] POWIERZCHNIĄ BEZMIARU WÓD.

Ziemia, bezmiar wód, ciemność kosmicznej natury – a tak naprawdę nie ma jeszcze ani ziemi, ani wód – są to więc pojęcia, za pomocą których autor usiłuje opisać stan pierwotny, stan sprzed zaistnienia świata. W tym celu posługuje się bardzo szczególną funkcją języka, funkcją, którą wykorzystuje chyba jedynie poezja. Terminy, takie jak: ziemia, woda, niebo, wieczór, poranek, światłość, ciemność należą do elementarnego wyposażenia językowego, gdyż stanowią desygnaty najpowszechniejszych ludzkich doświadczeń. Każdy człowiek wie, co oznaczają i każdy podobnie ich doświadcza. Gdy mówię o ziemi, to gdzieś w podświadomości jawi mi się obraz wielkiej przestrzeni, która jakoś się przede mną otwiera, która jest właściwym dla mnie miejscem przebywania. Gdy mówię o poranku, to słowo to przywodzi mi na myśl radość poczynającego się dnia, odnowienie sił pokrzepionych snem i pracę, która w tym dniu na mnie oczekuje i którą mam nadzieję z pożytkiem wykonać. Gdy mówię o ciemności, przede wszystkim rejestruję wrażenie jej nieprzenikalności dla mnie, niepewności, niejasności. Skrytość, może nawet wrogość. Jakości, które sprawiają, że nie czuję się w niej pewnie, bezpiecznie, bo nie potrafię uchwycić ani rozpoznać tego, co się pod nią kryje. O taki typ doświadczeń chodzi w tym fragmencie tekstu, to znaczy mniej więcej aż do ósmego wersetu. Słowa, których tu autor używa, są więc rodzajem haseł, które mają przywoływać, aktualizować to powszechnie podzielane, ludzkie doświadczenie. Dzięki

takiemu zabiegowi zaczynamy pojmować, że to, czego się tu dowiadujemy, dotyczy innego wymiaru rzeczywistości, o naturze którego możemy sobie wyrobić pewne pojęcie właśnie na bazie owych wspólnych odczuć, których echo przenosi język.

A więc *ziemia*, a to znaczy cały świat materialny (kosmos), ale także cały „obszar”, cała „przestrzeń” znajduje się w stanie chaosu i martwoty. Jest *bezlądem i pustkowiem*. Co wprowadza ład w świecie martwej natury? Prawa – fizyczne, chemiczne, relacje geometryczne, związki przyczynowe, czas... Tego wszystkiego jeszcze nie ma. Jest tylko *pustkowie* – pustka, nicność, nieobecność materii ani praw. Co więc jest? Jest idea. Boży zamysł równoznaczny z istnieniem. Świat – ten materialny, ale i ten duchowy, jak widać z dalszego tekstu – jeszcze nie ma żadnej jakości, ale już istnieje jako stwórczy zamiar Boga. Świat jako całość, ujęty we wszystkich swych wymiarach, ma już naturę – jest dualny. Składa się z *nieba i ziemi*.

## <sup>2</sup> A DUCH BOŻY UNOSIŁ SIĘ NAD WODAMI.

[1,2]

Lecz chociaż bezład i martwota, a przede wszystkim ciemność, to akcesoria demoniczności, ten świat jest bez wątpienia Bożym miejscem: *Duch Boży unosi się nad wodami*. Jest w nim od początku obecny i pozostanie w nim później w przebogatych teofaniach. Jest obecny, to znaczy świadczy, potwierdza fakt przynależności tego świata do Boga.

Określenie *nad wodami* zdaje się podważać to, co dotąd zostało powiedziane. Bo jeśli rzeczywiście jeszcze nie została stworzona materia, to skąd te wody? Jednak dalszy ciąg narracji upewnia nas, że biblijny pisarz, nie znając pojęcia próżni, zastępuje je właśnie terminem *wody*. Jest coś takiego w naturze wody, co pozwala ją w ten osobliwy sposób traktować, jako obraz i symbol próżni – jej rozlewność, wszędobylstwo,

nieuchwytność, brak geometrycznych kształtów... Nadto spostrzeżenie, że woda w jeziorze – tak samo jak niebo – ma w słoneczny dzień kolor błękitny, a w nocy czarny, podpowiada, że musi istnieć jakieś powinowactwo „materii” wody i nieba – tego nieba, które mamy nad głową, a które kryje wielką próżnię – i ten wniosek staje się dodatkową przyczyną owego zapożyczenia nazwy.

A więc, reasumując, świat w chwili „zero” to stan nicości – nieobecności materii i przestrzeni oraz stan chaosu pojmowanego jako brak reguł porządkujących. To może zaskakujące, ale Bóg jest stwórcą także tej pierwotnej nicości. Jest w sensie następstwa „wcześniejszy” niż ona. Jediną zaś jakością, jaką ten świat posiada, jest obecność w nim Ducha Bożego.

<sup>3</sup> WTEDY BÓG RZEKŁ: „NIECHAJ SIĘ STANIE ŚWIATŁOŚĆ!” I STAŁA SIĘ [1,3–5] ŚWIATŁOŚĆ. <sup>4</sup> BÓG WIDZĄC, ŻE ŚWIATŁOŚĆ JEST DOBRA, ODDZIELIŁ JĄ OD CIEMNOŚCI. <sup>5</sup> I NAZWAŁ BÓG ŚWIATŁOŚĆ DNIEM, A CIEMNOŚĆ NAZWAŁ NOCĄ.

I oto Bóg stwarza światłość. Nie po to jednak, by iluminować obszary pierwotnego chaosu. To zwykłe światło, pochodzące od ciał niebieskich i nastające w rytmie dnia i nocy, pojawi się znacznie później. Teraz zaś stwarza światłość. Nie było jej dotychczas. Była tylko ciemność – brak światłości i odpowiednik nicości (*pustkowie*) w świecie materialnym. Odtąd zaś światłość zaistniała w świecie. Światłość (a nie światło) zaistniała inaczej, niż to się dzieje w przypadku zwykłego światła. Tam, gdzie zapalam lampę, pierzchają ciemności. Obecność zaś światłości nie oznacza nieobecności mroku. Ciemność nadal istnieje. Bóg tylko *oddziela* (!) światłość od ciemności, a ten akt ma miejsce na bazie poprzedniego, który ustalał dualną naturę świata stworzonego, to znaczy rozdzielał sferę duchową od

materialnej. Werset drugi sugeruje, że Bóg chwilowo nie zajmuje się<sup>4</sup> konstruowaniem świata materialnego i pozostawia go *in statu nascendi*. Dokonuje natomiast doposażenia świata duchowego, stwarzając nieusuwalną antynomię światłości i ciemności. Stwarza więc „przestrzeń”, w której odtąd zaistnieć może to, co jasne, świetliste jak Jego aniołowie – słudzy *Dnia* Pańskiego i to, co ciemne, skryte, jak *noc* grzechu. Stwarza w konsekwencji możliwość istnienia dobra i zła. I, co może najistotniejsze, radykalnie rozdziela te dwa obszary od siebie. W Bożym planie nie ma sfery szarości. Jest tylko *dzień* i *noc*.

Na początku więc, w swym niejako pierwszym stworzonym geście, Bóg powołał do istnienia świat duchowy, ale jednocześnie odseparował go od świata materii. Wiemy to stąd, że „proces stwarzania” świata duchowego stanowi odrębny, zamknięty etap, całkowicie niezależny od „procesu stwarzania” świata materialnego. Ten dualizm natur jest fundamentem, na którym wzniesie On całe swe dzieło. I, jak fundament, nie da się on usunąć ani naruszyć bez ryzyka zawalenia się całej budowli.

#### **5 I TAK UPŁYNAŁ WIECZÓR I PORANEK – DZIEŃ PIERWSZY.**

[1,5] Nie ma jeszcze ciał niebieskich, które wyznaczają bieg czasu, nie ma poranków i wieczorów, a jednak biblijny autor uparczywie wpisuje kolejne etapy stworzenia w rytm tygodnia pracy. Na tym etapie rozważań nie potrafimy odkryć zamyśłu, który się za tym kryje. Odłóżmy to więc na czas stosowniejszy.

---

<sup>4</sup> Nie potrafię uniknąć tego i temu podobnych wyrażań antropomorfizujących Osobę Stwórcy. Rezygnacja z nich prowadziłaby do niesłychanej komplikacji opisu, co z kolei uniemożliwiłoby wyrobienie sobie właściwych intuicji co do zasadniczego przekazu omawianego tekstu.



<sup>6</sup> A POTEŃ BÓG RZEKŁ: „NIECHAJ POWSTANIE SKLEPIENIE W ŚRODKU  
[1,6] WÓD I NIECHAJ ONO ODDZIELI JEDNE WODY OD DRUGICH!”

Teraz zaś Bóg przystępuje do konstruowania świata materialnego. W drugim dniu Bóg stwarza niebo pojęte jako wszystko, co istnieje poza naszą planetą, a więc – według naszych współczesnych pojęć i wiedzy – mowa tu o stworzeniu wszechświata. Tekst nie wspomina wprawdzie ani galaktyk, ani mgławic, które stanowią jego nieodzowne wyposażenie, a posługuje się obrazem *sklepienia* powstałego w *środku wód* (wód, które uznaliśmy za odpowiednik pojęcia próżni), które oddziela *wody* planety od tych, które są gdzieś wysoko nad nią (ten środek wód umieścilibyśmy dziś na granicy stratosfery oddzielającej Ziemię od kosmicznej próżni), ale pod tym obrazem kryje się po prostu doświadczenie tego, że „coś jest”, coś – jakaś przestrzeń, jakieś nieogarnione przestworza poza i ponad ziemią, na której żyjemy. Że istnieje przestrzeń nieosiągalna dla człowieka (to właśnie znaczy: oddzielona sklepieniem), ale również podporządkowana Bożym zamysłem: *niechaj ono* [sklepienie] *oddzieli jedne wody od drugich*.

<sup>8</sup> BÓG NAZWAŁ TO SKLEPIENIE NIEBEM. I TAK UPŁYŃAŁ WIECZÓR  
[1,8] I PORANEK – DZIEŃ DRUGI.

Wszechświat nie ma więc jeszcze swego wyposażenia w postaci gwiazd, planet, mgławic, ale już istnieje jako ogromna potencjalność i jako twór przestrzenny. Jako wielka przestrzeń, która ma już swoją geometrię! – Bóg nadał jej kształt sklepienia. To znaczy wprowadził ład: prawa, relacje, związki – przynajmniej te o charakterze przestrzennym – wśród pierwotnego *bezlądu*. Porządkuje „chaos pierwszej minuty”.

Jest to więc etap projektowania, rozrysowywania ogólnych kształtów przyszłej budowli. I tyle, aż tyle wypełnia całkowicie drugi dzień stworzenia.

<sup>9</sup> A POTEŃ BÓG RZEKŁ: „NIECHAJ ZBIORĄ SIĘ WODY SPOD SKLEPIENIA  
[1,9–10] W JEDNO MIEJSCE I NIECH SIĘ UKAŹE POWIERZCHNIA SUCHA!”  
(...) <sup>10</sup> BÓG NAZWAŁ TĘ SUCHĄ POWIERZCHNIĘ ZIEMIĄ, A ZBIOROWISKO WÓD NAZWAŁ MORZEM.

Następnie w tak utworzonej i wyposażonej już w owe pierwsze prawa przestrzeni Bóg tworzy przyszlą kolebkę życia – Ziemię. W próżni pierwotnej przestrzeni tworzy i umieszcza materię, która stanie się tworzywem dla dalszych etapów. Spotykamy w tym miejscu pierwszą triadę: niebo – ziemia – morze. Tutaj rzeczywiście dochodzi do głosu przekonanie starożytnych, że Ziemia to właściwie tyle, co cały wszechświat, a wszystkie ciała niebieskie są tylko rodzajem ozdobnego do niej dodatku. Wychodząc z takiego stanowiska, autor mówi od razu o stworzeniu Ziemi, miast precyzyjniej, o stworzeniu materii w ogóle, a Ziemi w konsekwencji. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, byśmy symboliczny *akt ukazania się powierzchni suchej* odczytywali jako odnoszący się do materii w ogóle, a do materii naszej planety w szczególności. Tak więc Bóg każe się „usunąć” pierwotnej pustce, a właściwie tylko pewnej jej części (*wodom spod sklepienia*) i „odsłonić” powierzchnię suchą. Zaś niejako w uzupełnieniu do tej powierzchni, jako całkowite jej przeciwieństwo, tworzy wielkie rezerwuary wód, ale już tych najzwyklejszych: wyniku syntezy tlenu i wodoru, i nazywa je morzem. *Wodom spod sklepienia* (pustce) „rozlanym” wszędzie, „obecnym” wszędzie, zostaje postawiona realna, namacalna granica. *Kto bramą zamknął morze, gdy wyszło z łona wzburzone (...). Złamałem jego wielkość mym prawem, wprawiłem wrzeczódze i bramę. I rzekłem: „Aż dotąd, nie dalej! Tu zapora dla twych nadętych fal!”* (HI 38,8–11). To symboliczne ograniczenie zmienia ich charakter – stają się zwykłymi wodami obecnymi w świecie

przyrody. Zauważmy konsekwencję: ciemność robi miejsce światłości, współistniejąc z nią nadal, a pierwotna pustka „usuwa się”, by powstała ziemia, ale „gromadzi się”, by powstało morze. Różne żywioły, czyli różne natury i dlatego różny „sposób” stwarzania. I nic nie podlega unicestwieniu, a jedynie transformuje się i przeobraża, odsłaniając tkwiącą w jego naturze złożoność.

#### <sup>10</sup> BÓG WIDZĄC, ŻE BYŁY DOBRE (...)

[1,10] W tym fragmencie po raz drugi spotykamy sformułowanie, które odtań jak refren powtarzać się będzie po kolejnych aktach stwórczych: *Bóg widział, że było dobre. Dobry* był rezultat dnia pierwszego – światłość – i tylko ona, i *dobre* jest morze i ziemia, które zaistniały dnia trzeciego, i *dobre* będą wszystkie dzieła dni następnych. Dlaczego więc tylko dzień drugi pozbawiony został tej pochwały? Czyżby Bóg był niezadowolony z konstrukcji sklepienia rozdzielającego pierwotne wody? Gdy jednak przyjrzymy się uważnie sytuacjom, w których padają te słowa, widzimy, że zawsze towarzyszą one aktowi kreacji nowego jestestwa. *Dobre* w Bożych oczach (*widział Bóg*) to nie znaczy, że jest „cacy”, ale że istnieje! Zachodzi tu jakieś fundamentalne utożsamienie dobra i istnienia. Bóg chce istnienia – *Ja Jestem* jest Jego imieniem. Prawa przyrody, związki przestrzenne, które rekapitułuje symbol sklepienia i które Bóg wszczepił w świat, by wprowadzić w nim ład, także istnieją, ale nieco inaczej, słabiej, na sposób idealny i potencjalny. Istnieją, bo ingerują, bo się manifestują, a nie: istnieją, bo są. Dlatego w drugim dniu nie słyszymy, że *było dobre*, bo Bóg jest za „mocnym” istnieniem. I dlatego też dobra jest światłość, ale nie jest dobra ciemność, choć Bóg zezwala na jej istnienie. Bo ciemność to obszar duchowego niebytu. Ciemność to – używając słowa, którym posługiwał się Jezus – zatracenie.

<sup>11</sup>(...) RZEKŁ: „NIECHAJ ZIEMIA WYDA ROŚLINY ZIELONE: TRAWY [1,11–13] DAJĄCE NASIONA, DRZEWA OWOCOWE RODZĄCE NA ZIEMI WEDŁUG SWEGO GATUNKU OWOCE, W KTÓRYCH SĄ NASIONA”. I STAŁO SIĘ TAK. <sup>12</sup>ZIEMIA WYDAŁA ROŚLINY ZIELONE: TRAWĘ DAJĄCĄ NASIENIE WEDŁUG SWEGO GATUNKU I DRZEWA RODZĄCE OWOCE, (...) A BÓG WIDZIAŁ, ŻE BYŁY DOBRE. <sup>13</sup>I TAK UPŁYŃAŁ WIECZÓR I PORANEK – DZIEŃ TRZECI.

Zastanawiający jednak jest ten przeskok: od wszystko ogarniającego „projektu” natury, od najogólniejszych reguł i struktur do ziemi i zaraz potem jej szaty roślinnej. Czegoś tu po drodze brakuje. Jakkolwiek wielką mogłaby się wydawać ziemia biblijnemu autorowi i jakkolwiek mocno był przekonany o jej centralnym położeniu we wszechświecie, to przecież przechodząc od twórców największych do mniejszych powinien chyba najpierw wspomnieć choćby o niebie, które całą ziemię otacza i obejmuje – tym bliższym niebie, „niebie meteorologów”, po którym płyną obłoki i z którego pada śnieg. Takie niebo przecież na co dzień obserwuje. A nie wspomina. Nie wspomina, bo prowadzi swój opis z zupełnie innego stanowiska. Dla niego kolejny, nowy etap stworzenia zaczyna się w momencie zaistnienia bytów o odrębnej – względem już istniejących – naturze. Nie bawi się więc w szczegółowe katalogowanie elementów składowych naszego świata i wszechświata, bo nie on go interesuje, ale zwracając się ku bytom o coraz to odmienniejszej naturze, ukazuje nam Boga jako Istotę, która „potrafi” je kreować, to znaczy Istotę, w której naturze jest źródło niesłychanej ontycznej różnorodności odkrywanej przez nas w świecie. Bóg nieskończenie przerasta wszystkie swe stworzenia, ale każde z nich jest odbiciem cząstki Jego natury tak samo, jak dzieło sztuki wyrasta i zachowuje coś z ducha swego twórcy.

Należałoby się spodziewać, że rozdzielenie wód zakończy kolejny dzień „pracy” Boga. Od tej chwili istnieje już cała przy-

roda martwa, przynajmniej główne środowiska (ląd, morze, powietrze), w których później będzie mogło rozwinąć się i kształtować życie, choć nie istnieją jeszcze gwiazdy, a zatem nie ma jeszcze czasu ani światła, ani najważniejszego źródła ciepła, jakim jest Słońce. A mimo to Bóg stwarza jeszcze tego samego dnia rośliny, a więc dokonuje kolejnych uszczegółowień w stworzonym przez siebie świecie. Skoro istnieją już rośliny, to świat różnicuje się teraz na obszary leśne, stepowe, pustynne, bagienne... Dopiero teraz zaczyna dochodzić do głosu, a w świecie przyrody ożywionej osiągnie swój najpełniejszy wyraz, niesamowita wprost różnorodność form ukryta na sposób potencjalny w strukturze stworzenia.

Wróćmy do tej szczególnej niekonsekwencji Stwórcy, to znaczy stworzenia świata roślinnego mimo braku środków podtrzymujących życie biologiczne. Biblia pełna jest takich paradoksów. Jeśli jednak uznamy je za wynik niewiedzy pisarza, niczego więcej się od niego nie dowiemy. Zresztą, czy człowiek żyjący nieporównanie bliżej natury i stokroć bardziej od niej uzależniony niż my, obywatele cywilizacji technicznej, mógłby do tego stopnia nie rozumieć przyrody, by na przykład kazać roślinom rosnąć bez światła i ciepła? Na pewno nie. Jest to więc niekonsekwencja zamierzona. Niekonsekwencja, dzięki której mamy się czegoś ważnego dowiedzieć. Czego? Tego na przykład, że w tym opisie nie chodzi o chronologię. Mimo niezwykle sugestywnego schematu tygodnia pracy, w rytm którego Bóg inicjuje kolejne etapy stwórcze, czas nie stanowi tu istotnej komponenty. Nie on jest czynnikiem napędzającym wydarzenia. Zresztą aż do czwartego dnia (miary) czasu w ogóle nie ma. Dlatego mówienie o jakiejś chronologii czy ewolucji wydarzeń jest tu bez sensu. Na dobrą sprawę można by zamienić kolejność dni i nic by się nie stało. Lecz jak w takim razie rozumieć ciągle powtarzający się zwrot *i tak upłynął wieczór i poranek, dzień (...) pierwszy, drugi, trzeci?*

<sup>14</sup> A POTEŃ BÓG RZEKŁ: „NIECHAJ POWSTANĄ CIAŁA NIEBIESKIE, ŚWIE-  
[1,14–15] CĄCE NA SKLEPIENIU NIEBA, ABY ODDZIELAŁY DZIEŃ OD NOCY,  
ABY WYZNACZAŁY PORY ROKU, DNI I LATA; <sup>15</sup> ABY BYŁY CIAŁAMI  
JAŚNIEJĄCYMI NA SKLEPIENIU NIEBA I ABY ŚWIECIŁY NAD ZIEMIĄ”.  
I STAŁO SIĘ TAK.

Zauważmy: *wieczór i poranek* – granice kolejnych dni pracy Boga. *Wieczór i poranek* – od tyłu do przodu. Dlaczego wymieniono tylko te dwie pory, pomiędzy którymi rozciąga się długi, nawet kilkunastogodzinny dzień, o którym nie ma tu ani słowa? Jest w tym, być może, coś z żydowskiego sposobu myślenia, to coś, co sprawiło, że hebrajskie teksty czyta się od prawa do lewa. Ale jest w tym też owo pospólne, ludzkie doświadczenie, które każe pod pojęciem poranka rozumieć czas, gdy człowiek budzi się i zabiera do pracy, a wieczór pojmować jako czas, gdy kończy swe dzieło, a owoce jego całodziennego mozołu są już widoczne. I tak, wieczór dnia pierwszego to pora, gdy istnieje już świat duchowy (dwojaki w swej naturze), poranek to czas, gdy go jeszcze nie ma. Wieczorem dnia szóstego ziemia jest już domem ludzi i zwierząt, ale poranek tego dnia to czas, gdy ich jeszcze nie ma. Długi czas. Właściwie nieskończony. I dlatego taki porządek: od tyłu do przodu, bo o ile konkretny, określony jest moment wieczoru, o tyle poranek – „czas” poprzedzający zaistnienie – rozciąga się nieskończenie, aż po „samotną” wieczność Boga przed stworzeniem<sup>5</sup>.

---

<sup>5</sup> Zdaję sobie sprawę, że proponując odczytanie „wieczoru i poranka” na wspak, popadam w konflikt z odczytaniem żydowskim, dla którego dzień zaczyna się w wieczór poprzedzający poranek. Gdyby się jednak na nie zgodzić, należałoby odpowiedzieć na pytanie: Dlaczego tekst nie wymienia dnia, skoro to dzień w całej swej rozciągłości jest właściwym czasem pracy?

Zauważmy na marginesie tych obrazów, że dopiero od czasu odkrycia komórki jakoś bliżej nam do świata roślinnego. Nagle się okazało, że mamy z nim wiele wspólnego. Co więcej – wniknęliśmy nieco w nieprzebrane wprost bogactwo świata roślinnego, poznaliśmy na przykład niezwykle „zmysłne” rośliny owadożerne, a stąd w naturalny sposób zrodziły się fantastyczne pomysły agresji roślin na naszą cywilizację – i tak z wolna, krok po kroku przestaliśmy wątpić w to, że roślina należy do przyrody ożywionej.

Wcześniej jednak, nim odkryto komórkową budowę roślin, podstawą dość zresztą intuicyjnej klasyfikacji była zdolność ruchu. Ruch to życie. Co się rusza, to żyje. Co się nie rusza, nie jest żywe. W ten prosty sposób nastąpiło zasze-regowanie całego świata roślinnego do przyrody nieożywionej (w takim sensie), ale także – co już bardziej zaskakujące – wszystkich ciał niebieskich do przyrody żywej. Skoro widać, że się przemieszczają, a nie widać niczego, co by je wprawiało w ruch, znaczy to, że one same mają zdolność ruchu, czyli żyją. Żyją w tym szczególnym sensie, że to, co się z nimi dzieje, a także to, gdzie się przemieszczają, ma swe źródło w nich samych, a nie jest wynikiem oddziaływań, którym podlegają. Morze faluje, przybiera i opada, bo zmusza je do tego wiatr i – jak dziś wiemy – oddziaływanie grawitacyjne Księżyca. Drzewo rośnie, wypuszcza pąki, owocuje i traci liście także niejako mechanicznie, z przymusu: pod wpływem pory roku, słońca, opadów, wiatru. Taki ruch, ruch wymuszony z zewnątrz, a z nim wszelkie rodzaje mechanicznej przemiany mające swe przyczyny gdzieś poza obiektem, który im podlega, istnieje już od trzeciego dnia. Teraz zaś w strukturę świata zostaje wkomponowana nowa jakość – ruch opisywany prawami dynamiki.

Ciała niebieskie nie podlegają żadnemu przymusowi – starożytni nie potrafili wykryć takich czynników. Nadto

ciała niebieskie same są przyczyną ruchu, wywołują ruch, zmiany na ziemi. One sprawiają, że po nocy nastaje dzień, po zimie lato, że płynie rzeka czasu, a przyroda budzi się, rozwija i zamiera w niekończącym się paśmie cyklicznych przemian. Dlatego wyobrażali je sobie pod postaciami bóstw nieprzerwanie żeglujących po niebie i drżeli, by im się to zajęcie nie znudziło.

Żydzi oczywiście nie akceptowali tych wyobrażeń, kładąc nacisk na przenikającą wszystko wolę Boga. Dlatego samo stworzenie ciał niebieskich, które wprawdzie wykazują samoistną zdolność ruchu i są przyczyną owych zmian zachodzących w przyrodzie, umożliwiających je, zostało w tekście biblijnym potraktowane niecentralnie: Bóg tworzy je dlatego, że są potrzebne dla pewnego celu. Każdorazowo słyszymy „aby”: *aby oddzielały dzień od nocy, aby wyznaczały pory roku, aby świeciły nad ziemią...* Boży zamysł jest ponad ich „zamysłami”. I były dobre, bo istniały i dobrze spełniały swą funkcję. Tylko w tym jednym wypadku stwierdzenie, że są *dobre* pada w takim teleologicznym i użytecznościowym kontekście.

Ten fragment uświadamia nam jeszcze jedno: że Bóg stworzył czas dla dobra stworzeń. On sam trwa poza czasem – jest wieczny, całkowicie od czasu niezależny, a to z kolei potwierdza naszą wcześniejszą intuicję achronicznego charakteru całego opisu stworzenia świata wbrew użyciu „chronicznej” formuły literackiej.

#### <sup>19</sup> I TAK UPŁYŃAŁ WIECZÓR I PORANEK – DZIEŃ CZWARTY.

[1,19] Tak więc czwarty dzień stworzenia owocuje kadencją: ruch – wola (celowość) – życie. Ruch, który pochodzi z wewnątrz, to znaczy ma swe źródło w każdorazowej decyzji woli lub w odruchu instynktu, które z kolei służą pewnemu obranemu z góry celowi, wskazuje na obecność życia. Tego też „dnia”



wraz z powstaniem ciał kosmicznych stworzony zostaje czas (a może tylko miara czasu; na ten temat fizyka nie udziela jednoznacznej odpowiedzi) – w jego wymiarze liniowym (*dni i lata*) i cyklicznym (*pory roku*) oraz przyczynowość (*ciała świecące, aby wyznaczały pory*).

<sup>20</sup> POTEŃ BÓG RZEKŁ: „NIECHAJ SIĘ ZAROJĄ WODY OD ROJU ISTOT ŻYWYCH, A PTACTWO NIECH LATA NAD ZIEMIĄ, POD SKLEPIENIEM NIEBA!” (...) <sup>22</sup> POBŁOGOSŁAWIŁ JE TYMI SŁOWAMI: „BĄDŹCIE PŁODNE I MNÓŻCIE SIĘ, ABYŚCIE ZAPEŁNIŁY WODY MORSKIE, A PTACTWO NIECHAJ SIĘ ROZMNAŻA NA ZIEMI”. <sup>23</sup> I TAK UPEŁYNAŁ WIECZÓR I PORANEK, DZIEŃ PIĄTY. <sup>24</sup> POTEŃ BÓG RZEKŁ: „NIECHAJ ZIEMIA WYDA ISTOTY ŻYWE RÓŻNEGO RODZAJU: BYDŁO, ZWIERZĘTA PEŁZAJĄCE I DZIKIE ZWIERZĘTA WEDŁUG ICH RODZAJÓW!”

Następnie Bóg powołuje do życia przeogromne zastępy żywych istot, które egzystować będą w ramach wyznaczonych przez owe nadrzędne prawa natury we wszystkich środowiskach, jakie mają do dyspozycji. Zasiedlają one najpierw morze i niebo – piąty dzień, a potem ziemię – dzień szósty. Po raz drugi napotyamy tę triadę, której obecność upewnia nas, że mowa jest o świecie przyrody, o jego wymiarze biologicznym, a nie symbolicznym. W kontekście tej triady opisane jest także stworzenie człowieka, a to oznacza, że człowiek jest tu traktowany też tylko jako jedna z istot żyjących na ziemi, to znaczy w aspekcie biologicznym. Jednakże nawet z tego punktu widzenia jest on istotą wyjątkową. Zostaje stworzony według szczególnego, osobnego zamysłu Bożego i choć Stwórca nie poświęca mu całego dnia pracy, to jednak tę właśnie istotę tworzy odrębnie, według indywidualnego planu. Wszystkie inne stworzenia obdarował istnieniem, aby *zapełniały wody*, aby napełniały ziemię życiem, ruchem. Mają się mnożyć, by dzięki ich istnieniu boskie „tchnienie życia” dotarło do jej najdalszych

krańców, ogarnęło ją całą. Sens ich istnienia wyczerpuje się więc w samym ich istnieniu – mają być.

*Niechaj się zaroją wody od roju istot żywych*, a odrobinę dalej: *mnóźcie się, abyście wypełniły wody morskie*, a w domyśle i pozostałe środowiska. Jest w tych słowach Bożego błogosławieństwa echo niezwyklej ekspansywności życia. Życie – tak delikatne, słabe, narażone na niezliczone niebezpieczeństwa, wymagające pieczołowitości i ochrony, ostatecznie okazuje się zwycięskie. Zawsze bierze górę nad martwością i bezruchem. Miękkie pędy mlecza potrafią przerosnąć poprzez asfalt szosy, na najbardziej stromym dachu potrafi wyrosnąć drzewko, w najokropniejszych ruinach zwierzę znajduje bezpieczne schronienie, a trawa porasta mogiły. I po najgorszych kataklizmach historii ludzie wracają do swych siedzib, zakładają rodziny i hodują kwiaty. Bo z woli Boga życie jest przemożne, a Ziemia jest wielką oazą życia.

<sup>26</sup> A WRESZCIE BÓG RZEKŁ: „UCZYŃMY CZŁOWIEKA NA NASZ OBRAZ, PODOB-  
[1,26–28] NEGO NAM. NIECH PANUJE NAD RYBAMI MORSKIMI, NAD PTACTWEM  
POWIETRZNYM, NAD BYDŁEM, NAD ZIEMIĄ I NAD WSZYSTKIMI ZWIE-  
RZĘTAMI PEŁZAJĄCYMI PO ZIEMI!”<sup>27</sup> STWORZYŁ WIĘC BÓG CZŁOWIE-  
KA NA SWÓJ OBRAZ, NA OBRAZ BOŻY GO STWORZYŁ: STWORZYŁ MĘŻ-  
CZYZNĘ I NIEWIASTĘ.<sup>28</sup> PO CZYM BÓG IM BŁOGOSŁAWIŁ, MÓWIĄC DO  
NICH: „BĄDŹCIE PŁODNI I ROZMNAŻAJCIE SIĘ, ABYŚCIE ZALUDNILI  
ZIEMIĘ I UCZYNILI JĄ SOBIE PODDANĄ (...)”

Człowieka stworzył Bóg w zupełnie odrębnym porządku. Nie jako jeszcze jeden, dopełniający element przyrodniczej układanki, ale jako istotę względem niej nadrzędną. *Niech panuje nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym, nad bydłem, nad ziemią i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi*. Co to jednak znaczy? Jak człowiek mógłby panować nad rybami i to morskimi? Albo nad ptactwem powietrznym, a więc nie tym, które sam hoduje, ale tym żyjącym na

wolności, we właściwym sobie środowisku naturalnym tak przecież dalekim od naszego, że właściwie nie mamy z nim żadnego kontaktu? Jedyne, co potrafimy, to zafundować tym stworzeniom katastrofę ekologiczną, ale fakt, że giną za naszą przyczyną, trudno uznać za sposób panowania nad nimi. O co więc chodzi w tym nieoczywistym poleceniu: *niech panuje?*

Ten, kto panuje, znajduje się ponad poziomem tłumu. Osoba panującego jest jakoś wyróżniona spośród reszty społeczności. Przysługują jej specjalne prawa, szczególnie ochrona. Ma większe od innych możliwości, większą władzę (zakres działania) i – z racji swego nadrzędnego stanowiska – szerszą perspektywę widzenia spraw. Tyle daje jej panowanie, jej osobie. I chyba o czymś takim tu mowa. Człowiek otrzymał bowiem od Stwórcy szczególnie bogate uposażenie i nawet wtedy, gdy patrzymy na niego jedynie w aspekcie jego cielesności, okazuje się istotą o wyjątkowych możliwościach, której aktywności nie determinują ramy określonego środowiska życia (jak reszty zwierząt) i która – dzięki nieporównywalnej ze zwierzęcą inteligencji i wrażliwości – jest w stanie ogarniać niesłychanej komplikacji zjawiska i problemy oraz zastanawiać się nad sensem własnej egzystencji. Czy nie o taki rodzaj panowania – panowania pojętego jako naturalna przewaga nad resztą stworzeń – tu chodzi? Tym bardziej, że słyszymy: *Uczyńmy człowieka (...) podobnego Nam. Niech panuje (...)*. Z samej budowy tej wypowiedzi, z bezpośredniego następstwa zdań wynika, że to podobieństwo człowieka do Boga wyraża się w sposobie panowania nad światem, co zresztą nie oznacza, że wyłącznie w nim. A jak wygląda ten Boży sposób panowania? *On bowiem stworzył małego i wielkiego, i jednakowo o wszystkich się troszczy* (MDR 6,7). *Podstawą Twojej sprawiedliwości jest Twoja potęga, wszechwładza Twa sprawa,*

że wszystko oszczędzasz (MDR 12,16). *Oszczędzasz wszystko, bo to wszystko Twoje, Panie, miłośniku życia!* (MDR 11,26). Są to więc słowa, które na mocy owego *niech panuje* i *niech będzie podobny* powinniśmy też jakoś odnieść do siebie. Uczynić przedmiotem naszego rachunku sumienia. Bo o ile rozumiemy, że okrucieństwem (i grzechem) jest zabić lisicę wychowującą kilkoro młodych, o tyle postępująca degradacja świata przyrody, na skutek której giną całe gatunki, umyka naszej osobistej religijnej wrażliwości. Jest grzechem niczym.

<sup>29</sup> I RZEKŁ BÓG: „OTO WAM DAJĘ WSZELKĄ ROŚLINĘ PRZYNOSZĄCĄ [1,29–30] ZIARNO PO CAŁEJ ZIEMI I WSZELKIE DRZEWO, KTÓREGO OWOC MA W SOBIE NASIENIE: DLA WAS BĘDĄ ONE POKARMEM. <sup>30</sup>A DLA WSZELKIEGO ZWIERZĘCIA POLNEGO, I DLA WSZELKIEGO PTACTWA W POWIETRZU, I DLA WSZYSTKIEGO, CO SIĘ PORUSZA PO ZIEMI I MA W SOBIE PIERWIASTEK ŻYCIA, BĘDZIE POKARMEM WSZELKA TRAWA ZIELONA”. I STAŁO SIĘ TAK.

Warto zastanowić się nad tym obrazem. Bóg stworzywszy człowieka (mężczyznę i niewiastę), przeznaczając mu na pokarm zboża i owoce, trawy zaś rezerwuje dla zwierząt. Nietrudno się domyślić, jaki przekaz miał nieść obraz świata bez drapieżników, a więc bez przemocy, cierpienia i śmierci. Dotyczył on przecież czasu, gdy grzech nie pojawił się jeszcze w świecie (choć istniała już przestrzeń *ciemności*) i jest obrazem wyidealizowanym dla potrzeb przekazu, a nie reportażem z tamtego czasu.

Co innego jednak warto jest tu odnotowania. To, że Bóg określa i ściśle rozdziela to, co ma być pokarmem człowieka, od tego, co ma służyć zwierzętom. To także w oczywisty sposób przeczy naszej wiedzy, a przy tym nie znajduje już uzasadnienia w pierwotnej bezgrzeszności. Czemu więc służy ten obraz? Jego zadaniem jest uzasadnienie i zaznaczenie odrębności człowieka od reszty stworzenia. Sposób życia

i szczegóły anatomicznej budowy wielu zwierząt przystosowane są ściśle do ich sposobu zdobywania pokarmu oraz do jego rodzaju. Istnieje tu wyraźny związek, daleko posunięty determinizm i wzajemnie jednoznaczna relacja, która niejako „utożsamia” zwierzę z tym, czym ono się żywi. Przyporządkowuje je tak dalece, że zmiana pożywienia okazuje się dla niego niewykonalna i każde zachwianie równowagi środowiska powoduje, iż zwierzęta giną z głodu. Stąd „powiedz mi, co jesz, a powiem ci, kim jesteś”. I odwrotnie: to, czego nie jesz, mówi, kim nie jesteś. Biblijny tekst – jednoznacznie separując to, co przeznaczone dla zwierząt, od tego, co dane do spożywania człowiekowi – wyraża niepodważalną prawdę – jesteście inni. Nie jesteście elementem świata zwierzęcego. Nieco później Adam „osobiście” odczyta ten ukryty w przyrodzie Boży zamysł, gdy przyjdzie mu nazywać zwierzęta.

<sup>31</sup>I TAK UPEŁYNAŁ WIECZÓR I PORANEK, DZIEŃ SZÓSTY. <sup>1</sup>W TEN SPO-  
[1,31B-2,2] SÓB ZOSTAŁY UKOŃCZONE NIEBO I ZIEMIA ORAZ WSZYSTKIE JEJ  
ZASTĘPY (STWORZEŃ). <sup>2</sup>A GDY BÓG UKOŃCZYŁ W DNIU SZÓSTYM  
SWE DZIEŁO, NAD KTÓRYM PRACOWAŁ, ODPOCZĄŁ DNIA SIÓDME-  
GO PO CAŁYM SWYM TRUDZIE, JAKI PODJĄŁ.

Tak zakończył Bóg swe prace, a siódmy dzień przeznaczył na odpoczynek. Skoro jednak już wcześniej wykryliśmy, że opis dzieł stwórczych Boga – nieprzypadkowo wybiórczy i według naszych pojęć niechronologiczny – jest w istocie sposobem ukazania nam Jego samego, nie możemy teraz zlekceważyć tego dnia spoczynku. On też ma coś do powiedzenia o Bogu. Przede wszystkim to, że w naturze Boga nie istnieje żaden czynnik przymusu. Nie jest tak, że Bóg musiał stworzyć świat. Nie powodowała Nim żadna nadwyżka mocy, żaden koniecznościowy impuls. Stworzył świat w akcie absolutnej wolności, a zakończył tę pracę i *odpoczął* po niej w momencie, który w pełnej wolności uznał za stosowny.

Ale, ciekawa rzecz, o dniu siódmym nie jest powiedziane: *i tak upłynął wieczór i poranek* tego dnia. Czyżby ten dzień nie upłynął? Czy nie miał swego wieczora? Niewątpliwie miał poranek, to znaczy początek, bo wiemy, co się stało tego dnia – *Bóg odpoczął dnia siódmego* – ale czy miał też wieczór, to znaczy, czy ów odpoczynek Boga miał kres? W ciągu sześciu minionych „dni”, gdy Bóg prowadził dzieło stworzenia świata, wieczór każdego dnia oznaczał czas zaistnienia jakiegoś nowego, istotnie odmiennego od już istniejących, poziomu bytowego. Siódmy dzień był jednak z założenia dniem bez kreacji. Jaki więc moment, zdarzenie, rezultat definiowałby wieczór tego dnia?

Szukając odpowiedzi na to pytanie, w pewnym momencie orientujemy się, że skoro zgodnie z biblijną symboliką liczb owe siedem dni Boga to całość czasu – czas, jaki był, jest i będzie – to ów końcowy, siódmy dzień jest po prostu czasem danym światu na istnienie w kształcie ustalonym w ciągu poprzednich symbolicznych sześciu dni. Czasem bez nowych aktów stwórczych i czasem werbalizacji własnego sensu świata. Ale nie tylko, bo od początku dnia siódmego istnieje człowiek. Ten dzień jest więc jednocześnie czasem historii. Tej historii, która interesuje kronikarzy, ale także tej, o której od pierwszych swych kart opowiada Pismo św.: duchowej historii gatunku.

### **<sup>3</sup> WTEDY BÓG POBŁOGOSŁAWIŁ ÓW SIÓDMY DZIEŃ I UCZYNIŁ GO ŚWIĘTYM.**

[2,3] Dlatego *Bóg uczynił go świętym*. Świętym, a więc sakralnym, pozostającym z Nim w jakimś głębokim związku. Przez Niego, który jest jedynym źródłem świętości, uświęcanym. Bo duchowa historia gatunku jest historią zbawienia. Historią, którą Bóg Ojciec układa i nad którą czuwa wraz z Synem<sup>6</sup>, „odpoczywając” jedynie w sensie kreacji całych

---

<sup>6</sup> *Ojciec miłuje Syna i wszystko oddał w Jego ręce* (J 3,35).

światów (przyrody martwej, świata roślin, zwierząt itp.) i w sensie złożenia dzieła odkupienia w ręce Syna. Dzień siódmy jest więc w powyższym sensie czasem, gdy Syn podejmuje i prowadzi dzieło Ojca<sup>7</sup>. Jest czasem Syna.

Rzucmy teraz okiem na całość pierwszego rozdziału. Już nie wydaje się tak chaotyczny, jak początkowo. Odwrotnie, zaskakuje systematycznością i konsekwencją myślenia.

Pierwszy dzień to chwila powołania do istnienia podstawowej dychotomii: ducha i materii. To także moment, od którego rozbiegają się drogi tych dwóch odrębnych rzeczywistości. Bóg stwarza świat duchowy, być może wielokrotnie bardziej skomplikowany niż świat materii, ale w ten obszar nie mamy wglądu. Drugi zaś i trzeci dzień to czas poświęcony materii nieożywionej, konstrukcja świata, w jakim funkcjonujemy – dostępnego naszym zmysłom i naszej inteligencji. Z kolei trzy następane dni (zauważmy narastanie: 1 – 2 – 3 odzwierciedlające nie tyle komplikację wykonanych „prac”, ile bogactwo poziomów ontycznych) przeznaczone zostały na stworzenie wszystkich istot żywych z człowiekiem włącznie.

Lubimy myśleć, że całe dzieło stworzenia prowadzone jest z myślą o osiągnięciu z góry obranego celu – stworzenia człowieka. Człowiek jest rzeczywiście koroną stworzenia – zamyka cały proces. Po nim już nic więcej nie zaistniało. Ale czy jest rzeczywiście celem, któremu służył w zamierzony sposób każdy etap tego procesu? Myślę, że niezupełnie tak było. Każdorazowe: *widział Bóg, że było dobre* przeczy takiemu myśleniu. Pojawia się jako przeciwwaga dla niego. Dobre jest morze samo w sobie, choć nie jest środowiskiem życia człowieka i dobre są potwory morskie, choć nas przerażają, i dobre są zwierzęta pełzające, choć niezbyt je lubimy...

---

<sup>7</sup> *Jeżeli nie dokonują dzieł Mojego Ojca, to Mi nie wiercie* (J 10,37).

Cały świat mógłby spokojnie istnieć w pełni swej sensowności i na chwałę swego Stwórcy także wtedy, gdyby nie było na nim człowieka. Inna sprawa, że poszczególne jego elementy rzeczywiście spełniły rolę kołyski, bez której niemożliwe byłoby jego pojawienie się na ziemi.

Wróćmy jeszcze do owego dnia spoczynku. Całe dzieło stworzenia zostało w Księdze Rodzaju umieszczone w ramach tygodnia pracy i zamknęło się w granicach sześciu dni roboczych, siódmy dzień zostawiając Stwórcy na odpoczynek. Nie podważając uznanych tradycyjnych interpretacji, zauważmy, że z tego obrazu wynika wniosek, który współcześnie nabiera znaczenia i aktualności.

Otóż, tworząc świat, Bóg ma „do dyspozycji” siedem dni. Siedem, czyli pełnię czasu. Cały czas, jaki w ogóle „jest”. Także terażniejszość i przyszłość. Mógłby więc kontynuować swą pracę w nieskończoność. Mógłby proces tworzenia świata materialnego (tylko ten możemy śledzić) pomyśleć jako proces o charakterze ciągłym, trwającym, nieskończonym. Bylibyśmy wtedy na bieżąco świadkami kreacji coraz to nowych istot, światów, rzeczywistości... Czegoś, czego posmak na szczęście tylko na poziomie fantomów, a nie realnych bytów, wkrótce pewnie zafunduje nam na skalę globalną technika komputerowa. Mógłby, gdyby taka była Jego wola. Tymczasem zamknął go definitywnie w sześciu dniach, to znaczy wyznaczył mu granicę. Uznał, że to dzieło jest zakończone, kompletne. Nie z braku czasu – nie wykorzystał go przecież w całości – ale w efekcie wyczerpania się jego sensowności, w efekcie pełnej „werbalizacji” jego sensu własnego. To jest perspektywa, z której powinniśmy spoglądać na to, co dziś wyczynia się w genetyce. O ile próby podmienienia czy ulepszenia fragmentów indywidualnego zapisu genowego w celu uchronienia pacjenta przed straszną, nieuleczalną chorobą, które są w istocie jedynie likwidacją szkodliwego



„szumu informacyjnego” przez dopasowanie się do wzorca, który sam Stwórca zawarł w przyrodzie, wydają się z religijnego punktu widzenia dopuszczalne (inna rzecz, że cierpienie ma swój głęboki sens w Bożym planie, no ale niekoniecznie musi ono mieć charakter cierpienia fizycznego), o tyle próby na przykład kojarzenia materiału pochodzącego od gatunkowo odległych sobie stworzeń, które w efekcie mają doprowadzić do powstania organizmów hybrydalnych, są w świetle tych *sześciu dni stworzenia* niedopuszczalne.

<sup>1</sup> W TEN SPOSÓB ZOSTAŁY UKOŃCZONE NIEBO I ZIEMIA ORAZ WSZYSTKIE JEJ ZASTĘPY [STWORZEŃ].

Przypuszczam też, że w pewnym momencie poznamy sekwencje DNA wszystkich żywych istot, a komputery uporządkują nam je według ich wzrastającej komplikacji. I wtedy okaże się, że są w naszym świecie „puste półki”. Że mogłoby istnieć stworzenie o takim to a takim DNA, ale go chwilowo nie ma. Czy człowiek nie pokusi się o to, by je „stworzyć”? Gwarantuję, że tak, nawet gdyby ceną tej zabawy miało być zagrożenie istnienia reszty istot – przyroda to przecież nie-doścignienie precyzyjne puzzle... Jednak nie ze względu na wynikające z tej sytuacji możliwe zagrożenie, ale właśnie ze względu na „barierę sześciu dni” nie wolno takich prób podejmować. Bo nie do nas należy kontynuowanie „pracy”, którą Bóg uznał za zakończoną.

I jeszcze jedna uwaga. Biblijny autor umiejętnie korzysta z całego zasobu posiadanej wiedzy o otaczającym go świecie, w sposób celowy i głęboko przemyślany dobierając treści swego opisu. Nie jest to oczywiście wiedza rozumiana na sposób współczesny. On wie o świecie tyle, ile w nim zauważył. Opowiada więc o tym, czego sięga potoczne ludzkie doświadczenie. Ale już to wystarcza do realizacji celu, który sobie postawił.

W porównaniu z nim wiemy nieskończenie więcej. Czarne dziury będące jakby negatywem naszej ziemskiej rzeczywistości, fraktale – niezwykle, samopowielające się konstrukcje, w które potrafi strukturalizować się materia, dualistyczna natura tejże materii, której formy są wzajemnie komplementarne i wymienne, a także choćby ostatnie doniesienia genetyków, z których wyłania się obraz naszej biologicznej natury z jednej strony szalenie skomplikowany, z drugiej prostszy niż oczekiwano – to jest nasz świat. Świat pojęć i świat faktów, które wielkim wysiłkiem wydarły naturze genialne umysłowości. Ale jednocześnie jest to nadal ten sam świat stworzony przez Boga, o którym opowiada początek Genezis. Świat, którego każda cząstka – wszystko jedno: klucz dzikich gęsi czy fale materii – jest fragmentem cudownej praopowieści o jego Stwórcy.

\*\*\*

Opowieść o stworzeniu świata jest więc jednocześnie opowieścią, jeśli tak można się wyrazić, o rozległości Bożej natury. Nie sposób pomyśleć sobie takiej rzeczywistości, świata ani takiego ich fragmentu, który w jakiś bardzo zasadniczy – a przy tym sobie tylko właściwy sposób – nie pozostawałby w łączności ze Stwórcą. O ile dalsza narracja Księgi Rodzaju koncentruje się na relacji Boga z człowiekiem (czy raczej odwrotnie), o tyle ta pierwsza opowieść ma wymiar uniwersalny, wszechobejmujący, jak wszechobejmująca jest natura Boga, Stwórcy wszystkiego.

Dostosowując się do takiego sposobu prezentacji Ojca, spójrzmy na koniec na dzieła Syna. *Bóg jest duchem* (J 4,24) – mówi Jezus o Ojcu, a sam w licznych sytuacjach daje wyraz swej dwoistości natur. Takie wydarzenia, jak kuszenia na pustyni, których wspólnym celem jest rozerwanie

nieosiągalnej w ludzkich kategoriach Jego bliskości z Ojcem<sup>8</sup>, przemienienie na górze Tabor, podczas którego Bóg Ojciec potwierdza „czas Syna” (*Jego słuchajcie*), mowa eschatologiczna, w której Jezus zapowiada wydarzenia u końca czasów i swoje przyjście, a także rozliczne uwolnienia od złego ducha, których dokonuje wśród ludzi i absolutnie jedyna w swym charakterze i następstwach, nieprzenikniona dla nas walka z szatanem podczas męki – to wszystko są widome znaki Jego „obywatelstwa” i władzy w świecie ducha. Jednocześnie jako Człowiek żyjąc w świecie materialnym i doznając trudu zwykłej egzystencji (zmęczenia, głodu, pragnienia), spogląda na dzieło Ojca z subtelną tkliwością – cóż jest równie lichego, jak wróbel?<sup>9</sup> – i zachwytem – cóż tak przepysznie wspaniałego, jak polna lilia?<sup>10</sup> Najmniejszym gestem nie poprawia tego dzieła, nie kwestionuje go, nie retuszuje. Szanuje jego sens, jego logikę, dostosowując do niej swe oczekiwania i treść swego nauczania (przypowieść o siewcy, o ziarnie, które musi obumrzeć, by wydać plon). A jednocześnie pozostaje ponad światem. Jest ponad prawami przyrody: chodzi po jeziorze, mnoży chleb, przemienia wodę w wino, uzdrawia, wskrzesza. Świat jest dla Niego w jakiś szczególny sposób przejrzysty (historia z dwudrachmą) i uległy wobec Niego (cudowny połów). Przejrzyste są też świat ludzi i ludzkie serce (nawrócona grzesznica, bogaty młodzieniec). Przejrzyste i do głębi rozumiały. Znamienne, że nauczanie o królestwie Jezus prowadzi w przeważającej części w czasie teraźniejszym, nie przyszłym. Dla Niego ono już jest. On je widzi, ludzie dopiero zobaczą. Zapragną zobaczyć pośród siebie.

---

<sup>8</sup> M. Szamot, *Chrzest i kuszenie na pustyni*, w: *Chcę widzieć Jezusa*, Wydawnictwo W drodze, Poznań 2018, s. 9–24.

<sup>9</sup> MT 10,29.

<sup>10</sup> MT 6,29.

Starożytni wymyślili sobie wielu bogów, rozumiejąc, że „boskość” może się manifestować na wielorakie sposoby. Może być naznaczona potęgą, mocą, grozą, ale może też być równoznaczna z opiekuńczością, dobrocią, pięknem. Sposób obecności Jezusa w świecie przyrody i w świecie ludzi, a także – na tyle, na ile możemy w niego wejrzeć, na ile opisują go ewangeliści – sposób Jego obecności w świecie duchowym (zawsze w ścisłej bliskości z Ojcem), ukazują jedno: że Jego „boskość” jest na wzór „boskości” Ojca. Jest taka sama, ma ten sam wymiar, jest tego samego rodzaju. Ten, który powołał do istnienia świat i człowieka, spogląda nań tak samo, jak Ten, który go przejął z ręki Ojca i odkupił.

## Końcówka i podsumowanie

Księgę Rodzaju można czytać na dwa sposoby: tak, by dowiedzieć się czegoś o człowieku albo tak, by dowiedzieć się czegoś o Bogu. Na pierwszy rzut oka stwierdzenie to wydaje się przesadne, bo gdzie jak gdzie, ale w tej właśnie opowieści Bóg i człowiek przebywają wyjątkowo blisko siebie. O wiele bliżej niż tego doświadczamy w życiu. Zdawaloby się więc, że nie sposób patrząc na Jednego, nie dostrzec drugiego. A jednak.

A jednak jest taki odruchowy, całkowicie spontaniczny, a przy tym głęboko ugruntowany jako intelektualny nawyk, sposób odczytywania Księgi Rodzaju jako serii niezależnych obrazów ilustrujących absolutne początki rodzaju ludzkiego. Te początki dokonują się za przyczyną, pod opieką i w obecności Boga Stwórcy, ale ich bohaterami są konkretni ludzie: Adam, Kain, Abel, Set, Noe... To w ich życiu zaszły wypadki, o których opowiada ta Księga. Oni okazali się filarami prahistorii ludzkości. Oczywiście, zdajemy sobie sprawę, że nie

aspekt historyczny jest tu najistotniejszy. Ważny jest nie kronikarski zapis wypadków, ale wymowa tekstu. Dowiadujemy się więc z niego, że jesteśmy istotami grzesznymi, że na mocy samej przynależności do rodzaju ludzkiego nosimy na sobie piętno grzechu pierworodnego, a jego skutkami są między innymi nienawiść i agresja (Kain), zatwardziałość (potop) i pycha (wieża Babel). Przystajemy na tę gorzką wiedzę o sobie w pokorze i bez szemrania. Rzeczywiście, niepiękni jesteśmy i wiemy to aż nadto dowodnie. Ale tę drugą wiedzę, tę kronikarską, trudno nam akceptować z równą otwartością, gdyż wykracza ona poza standardy, według których przywykliśmy gromadzić wiadomości. W końcu mamy tu do czynienia z opowieścią o czasach mitycznych, o wydarzeniach niesprawdzalnych metodami historii. Wydarzeniach *in illo tempore*. W naszej świadomości, mimo całego szacunku dla natchnionego tekstu i ogromu dobrej woli, która naprawdę chce mu bez zastrzeżeń zaufać, status tych wydarzeń jest jakiś nie do końca realny. Otacza je rodzaj złocistej mgiełki, która tym prostym, niewyjątkowym sytuacjom przydaje specyficznego uroku, ale ujmuje ważkości. Przez to, przez tę subtelną poświęcę odrealnienia, my sami umieszczamy je w dyskretnym nawiasie – nas one nie dotyczą, nam się nie przydarzą. Są z innego świata. To jest nieuniknioną konsekwencją takiego sposobu odczytania tekstu.

I jest jeszcze inny sposób. Taki, w którym w centrum staje nie człowiek, lecz Bóg. On jest treścią wszystkich stawianych pytań. Wtedy nieważne, w czyim losie znajduję na nie odpowiedź ani z czyjego doświadczenia wiary korzystam – Adama, Kaina czy budowniczych wieży Babel. Każda odpowiedź, którą dzięki nim otrzymuję, jest równie istotna, bo ich dzieje są tylko egzemplifikacją duchowych dziejów ludzkości. Są ich odwiecznym, zawsze aktualnym modelem. Zmieniają się dekoracje, atrybuty, bohaterowie, konkretne realizacje historyczne, ale

powód i sposób, w jaki Bóg upomina się o serce człowieka, pozostaje niezmienny. Jest jak język, którym się z nami porozumiewa od zawsze. Którym do nas mówi, nalega, broni. A wykładnię tego języka przynoszą właśnie pierwsze rozdziały Genetis. Znika złocista mgiełka otaczająca święte wersety, którą usiłowaliśmy rozgarniać siłą naszego poważania dla Księgi, a odsłania się ich niezwykła powaga i aktualność, ich niepowątpiewalna prawdziwość i predyktowność. W ich świetle dostrzegam i nareszcie pojmuję głęboką celowość owego rozdarcia, sprzeczności nawet, jakie dostrzegam w sobie. W ich świetle widzę swój własny los jako niezwykle sensowny i zmierzający ku jednemu, niepowtarzalnemu spełnieniu. W ich świetle wreszcie zaczynam dostrzegać „dno” historii i widzieć w niej Boże dominium. A najważniejsze w tym wszystkim jest to, że Bóg jawi mi się bliski, żywy, działający. Nie hieratycznie upozowany Administrator niezliczonych, bezimiennych rzesz, ale mój Bóg. Kochający mnie, zabiegający o mnie. Bóg, który przygotowuje dla mnie *odzienie ze skór*, by mi oszczędzić niepotrzebnego cierpienia. Który spieszy z olśniewająco prostym pytaniem: *Gdzie jesteś?*, gdy ja nie potrafię się rozeznąć w swym wewnętrznym skomplikowaniu. Który z czułością podpowiada: *Ale ty zbuduj sobie arkę*, chroniąc mnie przed następstwami tego, co nie jest ze mnie, co nie jest mi właściwe. I który jednym gestem rozrywa dławiące mnie, śmiertelne więzy, gdy ja sam ledwie zdaję sobie sprawę z ich istnienia. Bóg nieodległy i nieobojętny. Mój Bóg – łasy na moją ubożuchną, niemrawą miłość do Niego.





# Spis treści

**WSTĘP — 5**

**ROZDZIAŁ PIERWSZY: Świat stworzony przez Boga — 11**

**ROZDZIAŁ DRUGI: Drugi opis stworzenia człowieka — 37**

**ROZDZIAŁ TRZECI: Upadek pierwszych ludzi — 61**

**ROZDZIAŁ CZWARTY: Stworzenie i upadek nieco inaczej odczytane — 89**

**ROZDZIAŁ PIĄTY: Kain i Abel — 105**

**ROZDZIAŁ SZÓSTY: Potomkowie Kaina i Seta — 115**

**ROZDZIAŁ SIÓDMY: Boże postanowienie zagłady - potop — 127**

**ROZDZIAŁ ÓSMY: Potomkowie Noego — 157**

**ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY: Wieża Babel — 167**


**ROZDZIAŁ DZIESIĄTY: Potomkowie Sema — 183**

**KOŃCÓWKA I PODSUMOWANIE — 191**

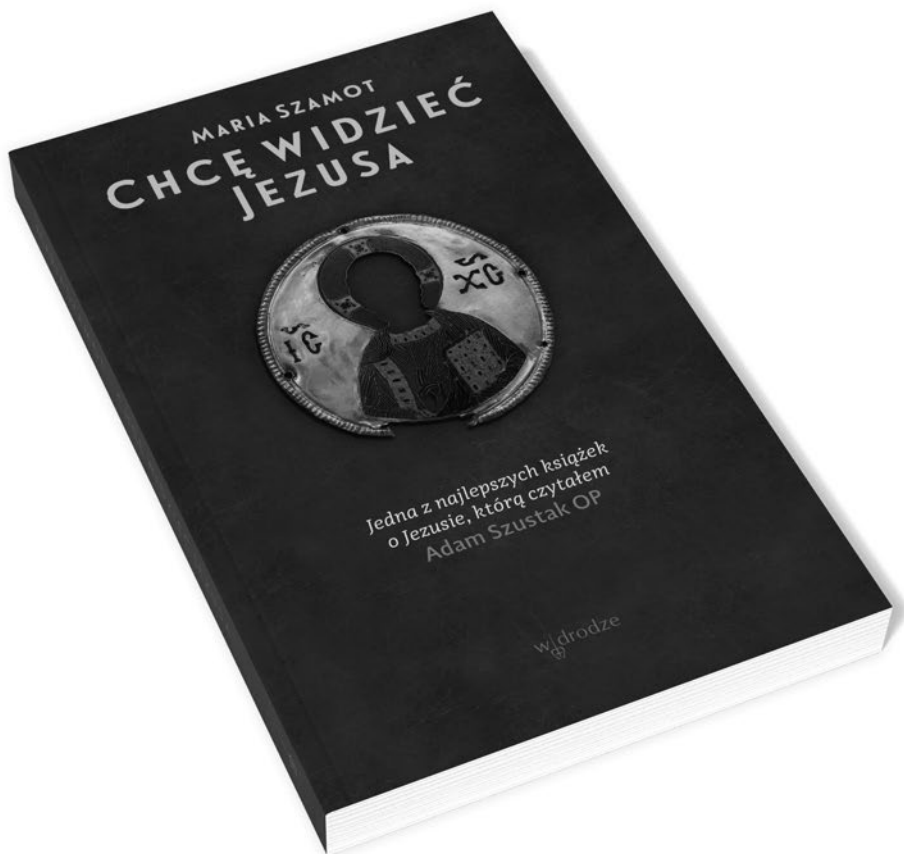


Polecamy również:



 Książka dostępna  
także w formie e-booka

Polecamy również:



Książka dostępna  
także w formie e-booka

Polecamy również:



Książka dostępna  
także w formie e-booka

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów W drodze sp. z o.o.  
Druk i oprawa: DRUKARNIA SKLENIARZ, Kraków  
Wydrukowano na AMBER VOLUME 80 g, vol. 1,5